

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 27 marca 1909 r.

№ 13.

Wacław Gąsiorowski.

## EMILIA PLATER.

3

Powieść historyczna.

— Jestem w drodze do Landskorony.

— Do Landskorony, do Landskorony!

— Znasz pan! Toż byś mnie z kłopotu dobył, gdybyś mi powiedział, jak się do Landskorony najkrócej dostać! Istne zamieszanie. W Kiejdanach mówili mi, żebym na Świąciany się brał, w Wiłkomierz tłumaczyli, że Landskorona jest pod Dżisną, w Dowgielach że pod Lucynem...

— Zaraz, niech wspomnę.

— Landskorona Borchów była a teraz...

— Marcin Karnicki wziął ją razem z Borchówną! Znam dobrodzieju, wiem! Kanclerz Borch miał dwóch synów: wojewodę bełskiego i starostę lucyńskiego! Po tem—synów ani krzty,—dwie córki. Jedną pojął Karnicki, drugą Tyman. Temu Landskorona wypadła, tamtemu Leymany. Tak! A Konicpol sprzedał Borch marszałkowi Weysenhołowi!

— Doskonale! Zdumiewam się pamięci pańskiej! Może kapeczkę!

— Che-che! Aby obliczać! Młodyś, dobrodziej, gdybyś tyle roków, co ja przeżył, tyle świata bez ziemi, zjeździł, pamiętałbyś także! Tak, tak, trzydzieści mil wkrąg,

chcesz wiedzieć, co Łappa, co Żaba, co Komar, toć powiem! Ciekawys, jak Dowgierdziszki od Dowgirda przez Paców i Sapiehów do Rómérów przeszły, mnie pytaj! Myślisz, czemu w Siesikach siedzi Dowgiałło, a nie jaki Dowmunt-Siesicki, bez Półnosa—nie wymyślisz.

Grużewski się rozochocił.

— Istna księga z pana.

— Aby zwyczajny raptularz.

— Za pozwoleniem, a Kielmy, odkąd do Grużewskich należą?

— Chcesz dobrodziej brać mnie na popis? Hm! Roku ci nie powiem, bom do liczb nie chybki. Kielmy! Sołomoreckich były. Książę Witold wystawił im kościół, a Grużewski Jan dyssydencką bóżnicę!

Grużewski zagryzł usta.

— Ale ja nie przeszkadzam, niech każdy po swojemu pana Boga... przymówić nie chciałem...

— A pozwólcie, panie Półnosu—ozwał się z boku chropowaty głos—a Piwoszuny, której guberni?

Półnos zerknął z podełba, a rozeczawszy rude bokobrody majora Werculina, który był wszedł niepostrzeżenie do izby i rozsiadł się na ławie pod piecem,—odparł wymijająco.

— Musi piwoszuńskiej.

— Gubernia panu Półnosu nie po sercu?

— Okrutnie, okrutnie, jeno nie do wszystkiego człek zdarzony.

Warculin lewe oko zmrużył i znać było, że miał ochotę Półnosa lepiej zażyć, lecz Grużewski zagadał politycznie.

— Ale, bośmy od rzeczy odbiegli. Więc jakbyś pan radził do Landskorony?

— Za Dżwinę wprost stąd się brać na Liksnę. Z Liksny na Ruszony, co pod Ruszońskim jeziorom. W Ruszonach, po Falkerzambach, Żołędzie siedzą. Znaczny ród i poczciwy. Jak przystało na Żołędziów, Dębem się pieczętują. Owóż, jak dobrodziej staniesz w Ruszonach, to już trakt wielki do samego Peterburka. Jedź przed się traktem do Rężycy, po tem wbok, i masz Lucyn. W Lucynie pytaj o Posiń. Łacniej ci powiedzą, bo w Posiniu dominikanie klasztor srogi mają. No, a Posiń tuż, podle Landskorony, dawniej jeden klucz z nią stanowił. A imć panu Marciniowi Karnickiemu pokłoń się, proszę, odemnie.

— Dziękuję, pamiętać będę. Pozwoli pan odrobinę?

— Aby obliczać.

— Gdyby jeszcze chciał mi pan

rzec, jak się teraz dobyć z Iłkukszy, a jak się wziąć, żeby znów się nie wlec nogą za nogą, toż byś mnie zgoła uradował.

— Pilno dobrodziejowi?

— Pilno nie pilno. Po rodzicu mam z panem Marcinem rewers do przeinaczenia. Wybrałem się trochę z ciekawości poznania Inflant, a trochę nie z ciekawości. Tak, czy owak, nie dlatego, aby tu ugrząść.

— Być może, lecz tem nie mniej ugrzązłeś dobrodziej. Pozwól! Jarmark dopiero jutro się skończy, a gwałt na drogach za dwa dni ledwie ucichnie. Dobrodziej wózek?

— Nejtyczanką, nadto bryka z tobołkami i pokojowcem.

— Więc zostań tu i przeczekać.

— Ani myślę.

— Cha, będziesz musiał tedy na żółwia się deklarować conajmniej aż do Ruszon. Co mówię! Pół dnia zmarnujesz, albo lepiej, zanim się doczekasz, że cię na prom wezmą na Dżwinie!

— Chyba pan żarty stroisz!

— Dalibóg, dobrodzieju! Nie ma co, trzeba zostawać. Pociotek mój ma wolną facyatkę. Wyboru nie ma. Tu, w gospodzie, ani izby!

Półnos prawił jeszcze o pociotku, o drogach zatarasowanych, o tłoku przy promie, a doradzał Grużewskiemu w Iłkukszcie przeczekać, aż w ostatku, widząc nieustającą Grużewskiego alterację, zakonkludował.

— Rozumię, dobrodziejowi pewnie do panny pilno.

Grużewski się zaczerwienił. Półnos zarechotał.

— No tak, tak. Inaczej byś dobrodziej tak się nie burzył. Tyleć dodam, żeś dobrodziej mazgaj! Cheche! Daj mi no swoje lata. Myślisz, żebym się koczobrykiem, czyli landarą trząśł? Niechbym był dwa razy większym dziedzicem, niż dobrodziej,—to jeszcze białonózkę, siwogrzywkę sobie bym dobrał i—hajda, w świat bym pędził! A tak, co? Zrobisz dziesięć mil w landarze—i piasta nie wiele warta, i oś wytarta. Pilność do buziaków, choćby i nie do buziaków, na koń siadaj, na siodle się pochyl i śmigaj.

— Z ust mi pan wyjąłeś! Mam

nawet wierzchowca luzem przy bryce. Oczywiście, nejtyczanka z bryką dojdzie za mną powoli. Aż mi lżej!

Półnos skrzywił się pobłaźliwie.

— Dobrodziej pewnie już ze dwadzieścia jeden lat żyjesz na świecie—hę?

— Dwadzieścia dwa! — skończyłem w czerwcu!

— Dwadzieścia dwa,—powtórzył smętnie Półnos i spojrział w okno, jakby dali dla echa tych słów szukając. — Toś dobrodziej o czterdzieści trzy odemnie bogatszy! Dwadzieścia dwa lat, żebym je znów miał..

— Cóż byś pan uczynić mógł! — zauważył z dąsem Grużewski.

— Chcesz dobrodziej wiedzieć — patrz tam, na lewo, w tłumie, widzisz te granatowe z karmazynem mundury? Tak bym wyglądał!

— Cale przystojnie. Pierwszy raz widzę taki uniform.

— Dawniej innego nie bywało—mruknął Półnos.—Wszak ci to nasi ułani, szcerzy, koroniarscy, z Warszawy!

— Doprawdy, ani bym się spodział. Z polskiego wojska?

— Z naszego, mości dobrodzieju.

— Bez wątpienia, ale nam do niego świat drogi.

— Dlatego, że takim, jak dobrodziej, do niego nie pilno.

Grużewskiemu oczy błysnęły.

— Nie sądz pan, kiedy nie znasz!

Półnos szarpnął wąsa i odrzekł stłumionym głosem:

— Gdybyś dobrodziej inaczej myślał, to byś w mundurze chodził.

— Ale w jakim! Do Królestwa by mnie nie wzięli, bo nie wolno, trzeba by tutaj, do Dyneburga, do szkoły podchorążych...

— Więc nawet. O cóż idzie, żeby potrafić. Żle dziś szlachcicowi bez ziemi, ale jeszcze gorzej bez porucznikowskiego bodaj instrumentu. Szmat życia oglądałem, na wiatr nie powiadam. W dwunastym byłoby inaczej, gdyby potrafił.

— A nadewszystko, gdyby służono jednemu sztandarowi, a nie dwóm.

— Prawda, lecz i z tych, co

szli pocziwie, nie wielka był uciecha. Dziś trza prócz rąk sztuki oficerowania, inaczej znów okaza pójdzie na marne.

— Sądzisz pan, że się zanosi?

— Nic nie sądzę.

— U nas, w rosięńskim, chodzą słuchy. Przed wojną z Turcją równie bałamuctw było co niemiarra. Mniemałem, iż acan wiesz lepiej.

— Wiem, wiem!—mruknął Półnos.—Dobrodziejowi akurat wiele by z tego przyszło! Ciekawys, a więc tyle wiem, że tak dłużej być nie może.

— Oo! Ot, prawda jedna, panie Półnosu!—przyświadczył z boku Werculin.—Ot dobrze, a krótko powiedziane! Tak dłużej być nie może!

Półnos drgnął zlekka i spojrział znacząco na Grużewskiego, lecz ten odwrócił się, był właśnie ku majorowi, niby chcąc tym ruchem skarcić wmieszanie się majora do rozmowy. Werculin wszakże inaczej ruch Grużewskiego pojął, bo skinął mu przyjaźnie i do stołu się zbliżył.

— Pan pozwoli się przedstawić? Major Werculin, do sztabu fortecy odkomenderowany prosto z Rabardy!

Grużewski chciał coś odrzec, lecz major przysiadł się już do stołu.

— Pan Grużewski pozwoli, ale ot, jedno słowo i człowieka pod żebro dojmie. Pan Półnosu dobrze mówi, tak być nie może, i nie może. Cóż, ja dawniej też chodził w karmazynnym kołnierzu. Cały litewski korpus w karmazynnym był—a teraz co?!.. Hę?

Półnos oczy zmrzął, wpił usta w kubeczek z winem i pociągnął z namaszczeniem.

— Samo idzie do gardła.

— I owszem, i owszem!—pochwycił Werculin.—Wypiję z panami, *per baccho*, wypiję. Pan Grużewski będzie łaskaw nalać — nie mogę odmówić, nie mogę.

Grużewski dość ociężale zabrał się do nalewania trzeciego kubka. Werculin nie tracił fantazyi.

— Ot, wino, ot, kolorek! Pan Grużewski, proszu darować, od-

wykił po waszemu mówić. Z Moskalami musisz, to strach, czego nie zabędziesz! Wasze zdrowie!... Ach, ja rozumiem, panowie! Patrzycie na mnie i powiadacie—ot Moska! A ja nie Moskał, tylko szczyryj Włoch! I nie Werculin, a Verzzulini. A Moskałów, uch, ja gorzej od was!.. *Per bacco!*.. Nie cierpię!

Grużewski potrząsnął głową.

— Nie pojmuję, co pan chce przez to powiedzieć. W każdym narodzie są ludzie źli i dobrzy.

Półnos na te słowa głowę przechylił i zabębnił palcami po stole. Werculin ku Grużewskiemu się przysunął.

— W każdym narodzie! Chcę! Rzeczywiście, lepiej głośno nie mówić. Co? Pan pozwoli dokończyć. Włoch jestem, italiański Włoch. Małego rodzice odumarli. Pan Iliński, starosta perejasławski, wziął mnie i na dworze chować kazał.

Aż potem, kiedy rekruta brali, to i mnie wzięli, w mundur zaszyli i Werculinem mianowali. A włoska krew taki włoską została. Włoska, więc jakby szczyra polska. Ot jak! Sami śpiewacie, że pan Dąbrowskij przyszedł do was z Włoszki. I ja też jestem z Włoszki, było jej Francesca Giorannówna. Teraz pan Grużewski wie, co czuję, a co myślę dla was, panów Polaków! Sobie tego nie życzę, czego wam życzę. *Per bacco*, wy chcielibyście, żeby Litwę przyłączyć do Królestwa! A ja, ja?! Zdaje się wam, że ja nie wiem, co znaczy ojczyzna? He! Ot, kiedy w dziesiątym roku na Krym, na lejtenanta, mnie posłano i kiedym apeliny zobaczył, to mi się tak moja włoska krew wzburzyła, że mi łzy grzechotem posypały się.

— Bardzo wdzięczny sentiment,—bąknął Grużewski. Półnos mocniej zabębnił po stole i jął po-

mrukiwać jakąś swywołną piosenkę. Major dolał sobie wina.

— I przychodzi sam z siebie.

— Mam jedną duszę, za trzy płacić muszę!—podśpiewywał coraz głośniej Półnos.

— Wasze zdrowie! Tak, pan Grużewski. Ja nie obcy wam, nie cudzy. Widzieliście tych z mną oficerów? Mówię wam, że czasem ledwie mogę z nimi. Uważaliście tego majora w jegierskim mundurze? — To Daszkow! Strach, jaki zakamieniały! Pan Półnosu wesoło,—ot, nie daj Boże wam z Daszkowem.

— Mam jedną duszę...

— Daszkow i duszy waszej nie daruje! Niech taki znaczenia się doczeka, a przy nim i sam Nowosilcow będzie dla was barankiem. Na takich jest tylko jeden sposób, inaczej wasza „niepodległość“ pod ziemię się zapadnie!

DCN.

Władysław St. Reymont.

## MARZYCIEL.

13

— Moje pieski też muszą na czemś ciepłym sypiać! Co mi tam już wszystkie kozuchy, jeszcze parę dni tego kieratu, a potem—adju Fruziu!

Józio spochmurniał nagle i rzekł z przekąsem:

— A wiem, już cała linia grzmi o waszym wyjeździe do Krakowa...

— Jadę do Paryża! Rozumiecie! Do Paryża!—wymawiał, pojął się tym dźwiękiem.

— Więc spełniają się wasze marzenia!—westchnął dosyć ciężko.

— Czego się chce, spełnić się musi! A chciałem strasznie, chciałem nadludzko, chciałem wszystkimi mocami, musiałem tak chcieć i musiało mi się spełnić, gdyż inaczej byłbym sobie strzelił w łeb! Stało się, a za tydzień wyjeżdżam, *puszczam kantem kolej, służbę, naczelników i niesę się we świat!* W szeroki, straszny i cudny świat!—wołał entuzjastycznie.

— I Paryż dziura, tylko nieco

większa od drugich!—szepnął wzgardliwie Józio.

— Paryż dziura! Boże drogi, tak strasznie bluźnią ci ludzie, a ty nie grzmisz!—wykrzykiwał ze śmiechem, tłukąc dla rozgrzewki nogę o nogę. Był porywająco brzydki, miał w twarzy wszystko za wielkie: za długi nos, usta za szerokie, brodę za kwadratową, czoło za wysokie—o potężnych, lwich wypukłościach, i włosy za bujne, tworzyły bowiem dziką, zwichrzoną puszcę koloru dojrzałego żyta, tylko oczy miał prześliczne, szafirowe i lśniące, jak oczy dziecka.

— I nie boicie się? Rzucić posadę i jechać tak na niepewne, bez środków, bez stosunków i bez języka, to trzeba mieć odwagę nielada.

— Przedewszystkiem będę miał po sto franków miesięcznie przez pierwszy rok, a potem może Bozia też nie opuści, języka nieco się już poduczylem, a resztę na miejscu,

stosunków mi nie potrzeba, nie jadę na balowanie, a na pracę i uczenie się! Pewnie, że odwagi mi nie brakuje, przecież to gra o całe moje życie! Ale wygram, zobaczycie! Jeszcze o mnie będzie głośno!

— Wierzę, że Polsce przybędzie nowy Rafael!—uśmiechnął się złośliwie.

— Już cała kolej wyśmiewa się ze mnie, niech wam będzie na zdrowie.

— Bo wielu rwało się tak samo i tak samo marzyło, a tyłu już tam przepadło i tyłu jeszcze przepadnie! — mówił z politowaniem i prawie z nienawiścią.

— Baba z wozu, koniom lżej! Nikt na tem nie ucierpi, jeśli mnie dyabli wezmą, wołę przy sztuce zdechnąć z głodu, niżli tutaj żyć na raty i czekać, póki mnie jaka cholera nie zatłucze! Kto przepadł, nie będę go płakać, mnie obchodzą tylko żywi! Wiem, czego chcę, i wiem, że—co mi potrzeba, będę

musiał wydrzeć pazurami i wydrę! Wydrę psiakrew!—rzekł zapamiętane.

— Zuchwale powiedziano i mocno.

— Na wszystko mogę sobie pozwolić, bo wszystko mam do zdobycia.

— Już wzięliście podobno jakąś konkursową nagrodę?

— Za plakat na proszek do skutecznego tępienia pluskiew! Pięćdziesiąt rubli gotowym groszem i wzmianki po gazetach! Naturalnie, że fajgle spuściłem wmg, a wycinki posłałem matuli, niech chociaż ona jedna uwierzy w moją sławę! To był wstęp, zbawienie przyszło później. W parę tygodni po zwycięstwie zjawił się z pospieszonym jakiś jegomość w bogatym przyodziewku i z aparatem fotograficznym pod pachą. Bąknął mi jakieś nazwisko i najspokojniej zabrał się do przeglądania moich arcydzieł, porozwieszanych na ścianie. Juści, że chodziłem za nim, jak pies za kielbasą. Pochwalił rysunki, pokazałem mu wszystko, co tylko miałem, a kiedy napastł oczy do syta, powiada mi prosto z mostu.

— Wać masz talent bardzo oryginalny, ale wać nic nie umiesz i jesteś surowy, jak nieugotowany kartofel. Powtarzam dosłownie.

Józio zaczął się śmiać.

— Jakbym w pysk dostał, ale rznę mu naodlew. To niech mi dobrodziej paliwa dostarczy, a ja się już ugotuję na krucho i podam ze skwarkami—choćby na czystym złocie! A nie da, to niech mi dobrodziej nie zawraca kontramary i wynosi się na zбитy łeb! Byłem wściekły, gwizdnąłem nawet na pieski, żeby go odprowadziły na stację. Stary wybuchnął śmiechem, że i ja się roześmiałem i rudy dzięcioł, który był przy tem, też nie mógł się powstrzymać od śmiechu, słowem, zrobiła się jeneralna heca! Może i dla tego mój jegomość się nie pogniewał i został do samego kuryera. Wpakowałem w niego jadła i napitku za gruby fundusz; wziął na pamiątkę parę szkiców, odfotografował mnie wraz z pieskami i Maryską, ciągnącą za ogon

ciołka do obory, i odjechał. Zapomniałem o nim na śmierć, ale przed miesiącem najniespodzianie przysłała mi przekazem na Paryż tysiąc dwieście franków!

— Zupełnie, jak w bajce! Cóż to za jeden?

— Nie mam pojęcia, poprostu jakiś „szlachetny nieznajomy“, wiem tylko, że mam na dłuższy czas papu, frufru i barłóg! Mam w kieszeni, przy sobie, tu...

— Więc wzięliście te pieniądze?

— Z najszczerzą przyjemnością. Nie jestem bohaterem ze starożytności, co to wszelką pomoc dumnie wyrzucał za okno i szlachetnie zdychał z głodu.

— Powiem wam otwarcie, że nie wiem, czy bym wziął, chociaż nie jestem również bohaterem romansu, byłoby mi trochę wstyd takiej zapomogi czy wsparcia...

— Klituś bajduś, módl się za nami! Wsparcia, zapomogi, wstydy, to tylko słowa, zaś faktem jest mój przekaz, mój wyjazd i cała moja przyszłość! Potrzebowałem pieniędzy, ktoś mi je dał bez jednego słowa prośby i cała sprawa! Reszta, to zjeżdżała subtelności starych ciotek!

— Może macie rację, ale z takich subtelności składa się cała nasza kultura.

— To mam że ją w... zandrzu! Psiakrew, pieniądze nie jest moim bogiem i nie będę przed nim padał na kolana i czekał w pokorze godziny jego łaski. Niech go sobie czci, niech się nim żegna, niech się nim komunikuje i niech się nim zadławi parszywa, kapitalistyczna horda! Rubel wart jest tylko tyle, ile za niego dostanę, nic więcej! Ale pożyczkę—to byście chętnie wzięli?

— Wziąłbym, ale gdybym ją mógł kiedyś zwrócić.

— A inaczej ani grosika, choćby od tego zależało całe wasze życie?

— Tak, choćbym nawet miał zdychać z głodu!—rzekł patrząc mu prosto w oczy.

— Powinni was pokazywać na jarmarkach, jako najosobliwszą osobliwość! Szkoda tylko, że święci

nie wymyślili prochu, ani nic podobnego!

— Ale dali światu rzecz sto-kroć ważniejszą — moralność!

Mikado przysiadł na kanapie i, patrząc nań z podziwem, szepnął drwiąco.

— Jezu, jakby mnie kto zwał, czem przez ciemność! Czy to się jada?

— Kiedyż wyjeżdżacie?—pytał Józio, nie zważając na jego drwiące słowa.

— W niedzielę. Już sprzedałem całą swoją chudobę, a ponieważ długów nie płacę, wyprawiam w sobotę wieczorem morową bibę dla przyjaciół! Ostatnią bibę w życiu, bo skoro jeno tknę paryskiego bruku, adju wódzia, adju słodkie dziewczynki, adju próżniactwo, adju wszystko, co nie jest pracą na przyszłość! Tak sobie ślubowałem i myślę, że dotrzymam. Przyjeździe, bardzo was proszę.

— Któż będzie więcej?

— Ci, co i zwykle! Zbierze się z mendel wyborowego chłopca. Będzie też antał piwa, parę niezgorszych flach gorzały i smacznego jadła w bród. Będzie nawet muzyka, skrzyknąłem grajków z miasteczka, obiecali nam dudlić choćby do trzeciego dnia, jak na porządkiem weselu.

— Muzyka, to znaczy, że będą i jakie panienki!

— Ani ani! Jedna tylko Franja, jeśli mi jej pożyczycie na ten wieczór, zajęła by się kuchnią, bo Maryska zna się tylko na żarciu dla prosiąt.

— Owszem, jeżeli zechce, to może do was jechać choćby zaraz.

— Czuję, że jej nie oceniacie dostatecznie, to prawdziwa perła! Taka jedna idzie za kopę—tak zwanych porządnym kobiet. Morowa brzana, mówiąc po galicyjsku.

— Trzeba się w niej kochać, żeby ją aż tak drogo oceniać!—uśmiechnął się ironicznie.

— Nie kocham jej, ale ją cenię. Wiecie, chciałem ją kiedyś rysować, bo ma prześliczny akt, ale za nic w świecie nie chciała mi pozować nago, wstydziła się! Przecież to nadzwyczajne! Więc liczę na was z pewnością.

DCN.



## Folie de la vitesse.

Przytulona do boku męża hrabina Julia nawpół przymknęła oczy, poddając się słodkiemu czarowi marzenia. Jeszcze nigdy nie było jej tak dobrze, jak w tej chwili. Aeroplan mknął w dal spokojnym, równym lotem, jak jeden z owych legendarnych ptaków, które według tradycji dawnymi czasy miały żyć ponad ziemią. Naumyślnie pragnąc uniknąć spotkania z ludźmi, małżonkowie rozkazali chauffeur'owi wzniesić się ku ostatnim kręgom atmosfery. Otoczyła ich pustka i cisza, rozsoneczniiona złotym pyłem słońca. Było tak cicho, że oboje słyszeli dokładnie bicie serc własnych... Miarowy, wartki rytm elektrycznego motoru oszałamiał ich jednostajną, usypiającą muzyką. Była to melodia dzika i prosta. Hrabina Julia wsłuchiwała się w nią z rozkoszą; tak wyobrażała sobie zawsze tajemnicze dźwięki owych kołowrotków średniowiecznych, na których w XX stuleciu kobiety przędły len, podczas gdy mężowie ich odchodzili na strajki.

Hrabina Julia myślała nieraz z tęsknotą o tych dalekich i pięknych czasach. Pełna prozy, spleciona z drobnych wrażeń współczesność, nie odpowiadała jej marzycielskiej, romantycznej naturze. Powtarzała nieraz z melancholijnym półśmiechem:

— Ja powinnam się była urodzić w średniowiecznych czasach, w jakimś dziewiętnastym, dwudziestym wieku. Wtedy by mnie rozumiano.

I teraz, zbudzone suggestywną muzyką aeroplanu, w półsennej wizji zamajaczyły się przed jej oczami obrazy z owych epok, peł-

nych bohaterstwa, grozy i naiwnej wiary, czasów, w których fantazja ludzka zaludniała świat upiorami i kołniami, gdy morza były pełne syren i wielorybów, a ludzie o prostych duszach umieli w swych sześciojętrowych domkach wierzyć i kochać.

Rozmarzona hrabina Julia wsparła głowę na ramieniu męża.

Była to ich pierwsza schadzka od czasów ślubu. Ulegając namowom męża, hrabina Julia nie szła jednak za wskazaniem serca, poddawała się raczej temu uczuciu, które starożytni nazywali snobizmem. Przyjętem było wśród kobiet z towarzystwa, o ile nie chciały się narażać na śmieszność sentymentalizmu, aby zdradzać kiedy niekiedy kochanków swych z mężem. Hrabina Julia nie zastanawiała się nad tem, czy jest to złe, czy dobre. Owa subtelna obawa wyróżnienia, która od najdawniejszych, niepamiętnych czasów cechowała wybrane, arystokratyczne dusze, kazała jej uleść namowom męża.

Czuła przytem, że jego prośby i zaklęcia nie były szczerze. Hrabia również chciał tylko zadowolnić swą próżność—módz wieczorem opowiedzieć w klubie, że miał przygodę miłosną z własną żoną.

Ale, gdy aeroplan wzbił się w powietrze, gdy otoczyła ich cisza i błękit, rozkosz lotu podnieciła zmysły hrabiny Julii. I jak w aparacie fonograficznym z ruchu martwych, nieświadomych sprężyn rozdzielił się żywy głos, tak samo w duszy jej z owej mechanicznej, gorętszej wibracji nerwów wykwitło czyste, dziewicze uczucie. Z miłością spojrziała na męża.

W jego oczach tliły już płomyki żądy.

— Chcesz być moją? — wyszeptał zdławionym głosem.

— Chcę—odparła cicho. Wydało jej się w tej chwili, że jest małą, słabą i bezbronną dziewczynką.

Wówczas hrabia, odsuwając się zlekka od niej, rzucił chauffeur'owi krótki, urwany rozkaz. Jakby echo odrzucone głosu, wrócił do nich metalowy dźwięk hamulca, otwierającego motor. Aeroplan drgnął, jakby otrząsając się ze stalowych wędzideł, które lot jego hamowały, i wolny z cichym świstem skrzydeł popędził w dal. Jak blask błyskawicy, która spada, małżonkowie wpatrywali się w siebie rozkochanymi oczyma. Rozkosz lotu doprowadziła ich do szału. Po chwili błękitna mgła przesłoniła wszystko. Zdało się, że w tej najwyższej chwili miłosnego upojenia ciała ich rozplynęły się w błękitnej pustce, przesyconej złotym pyłem słońca.

Ostatnim kręgiem atmosfery aeroplan, szybki, jak dźwięk i światło, oblatywał ziemię dookoła. Powietrze z głuchym traskiem zamykało się za nim.

Hrabina Julia, wycieńczona zmysłową ekstazą, nawpół nieprzytomna bezwładnie osunęła się w ramiona męża. W tej chwili, na znak, dany przez hrabiego, chauffeur zwolnił lotu. Powoli poczęła odzyskiwać przytomność... Białe aeroplan mknął w dal przez ciche przestrzenie błękitu, podobny do owych wielkich, legendarnych ptaków, które według podań dawnymi czasy miały żyć ponad ziemią.

Jan Stanisław Mar.

## Kwiat Mimozy.

Został sam, jak ongi.

Przez zamglone szyby sączy się taka sama, jak wtedy, wilgotna cisza. Błady płomień ampli tleje spłwiałe w mglistej atmosferze pokoju, przesiąkniętej dymem cygara, zapachem kobiety i aromatem mandarynek... Tak, jak ongi...

Tylko, miast jej portretu, mającego długi czas, jak szary cichy wyrzut, odrzyna się teraz jawor ram i jaskrawe barwy oprawnych w nie sztychów japońskich.

Ale tak, jak ongi, z stojącego na turnieku kryształowego wazonu wykwitła wiel-

ka gałąź mimozy, chyląca się pod brzemieniem żółtych, delikatnych kuleczek. I księżycowa lampa płonie tak, jak gdyby od tego czasu nieprzerwanie snuła zamierające światło księżycowej pełni... Ten sam pokój, cisza ta sama i jednaka chyląca się gałąź puszystej mimozy.

Ale chwila, kiedyś przeżyta, a tak bliźniaczo podobna do obecnej, nigdy już nie wróci, jak nie zawiśnie nigdy już pastelowa plama jej portretu, mająca w półmroku, niby szary, niewyraźny wyrzut...

Przed chwilą, jak i wówczas, była tu

tamta: misterny posążek tanagryjski, miłośnica drapieżna i gibka z nieutulonem pragnieniem pocałunków i pieszczoły. Śniada miłości boginka, smukłobiodra i chybotająca się, jak trzcina Gangesu.

Tak, jak i wtedy, przyniosła ze sobą w każdej fatdzie otulającego ją jedwabiu szal mocny i denerwujący, jak zapach jej perfum i—gałąź mimozy, osypującą delikatny puszek żółtego kwiecia.

Odurza mnie jeszcze upajający obłok, co otula zawsze całą jej drobną postać. Zachwyca mnie muzyka jej przedziwnych

ruchów. Wspomnienie cudu misternego ciała, bielejącego w ametystowym półświecie, co jeszcze przed chwilą jawił się upojonym oczom, zstąpiło ku mnie niby z przeszłości zamierzchłych Indyi. Czarne, ciężkie kędziory, śród których połyskiwało złoto zaplecionych monet, oszalały mnie — i wraz z ostrym zapachem mandarynek i zawrotnym dymem cygara pograżały w półsen.

Tak, jak ongi...

Nagle spytałem przerażony: czemu i dzisiaj nie mogę marzyć o tej, co przed chwilą jeszcze oplatała mnie uściskiem owych drobnych i chwytkich, jak lłany, ramion, tylko duch mój, jak i ongi, rwie się ku tamtej, niegdyś kochanej, a dzisiaj wzgardzonej i przez każdą kroplę krwi serdecznej przekletej?!

Czemu kłębią się we mnie te same niepokoje, jak wtenczas, gdy miłując i tęskniąc za promiennem złotem jej włosów, odurzałem się hebanowemi splotami tej, która i przed chwilą oplatała mnie śniadą niewolą swych ramion?..

Ta sama... taka sama gałąź mimozy...

Wtedy usunąłem ją natychmiast: lękałem się, że krzew ten czuły ostrzem podejrzeń utkwii w jej sercu. Szczery podarek miłości poświęciłem tej, której szczęście było mi nad wszystko drogic. Zniszczyłem go przez miłości moc wielką.

Dzisiaj pozostać może i ronić, jak lzy, żółte delikatne kwiatuszki.

Lecz czemu dławi mi piersi ból, że umajona ta gałąź aż do zwiednięcia zdobić dziś może wysmukły mój wazon z kryształu?.. Czy żal mi kochanki, co brudną, cyniczną ręką podarła na szmaty najświętsze marzenia moje? Czy żal mi przestodkiej chwili wiarołomstwa i tego płomienia pokuty, w który kładłem serce, szukające przebaczenia?..

Nienawistną mi jest ta jaskrawa gałąź, osypana wspomnień cierniami! Ciężko mi, jak wtedy!..

A może szlocha serce moje nad swem pohańbieniem? Może rozpacza, że nie wolno mu poświęcić tej, którą tak miłowało,

ani jednego wspomnienia jasnego, ani jednej myśli dobrej: rozpacza może, że umrze bez wspomnień i pamiętań. A może szarpie się w bezsilnej żalości po tych wyrzutach bolesnych, jakimi je smagała wonczas kwitnąca gałąź mimozy—ta sama... taka sama gałąź mimozy.

Żal, żal wychyla się z każdego kwiatka ku mnie! Tysiąc żółtych, jadowitych żadeł!

Żal mi każdego szelestu serca, każdej lzy wewnętrznej, przelanej wtedy nad tą, którą kochając, mniemałem, że krzywdzę! Żal mi każdego duszy drgnięcia, każdej myśli, co się u stóp jej włóczyła!

Gałąź ta bezlitośnie utąga ufności i ślepocie umiłowania! Precz ją wyrzuce! Lecz nie przez miłość—przez nawiść, od jakiej serce mi pęka, zwiednie ta gałąź na śmietniku pogardy! Przez wstręt i ohydę wspomnienia!

Rosochaty badył, osypany ordynarną żółcią kwiatu, jak dusza tej, którą kiedyś kochałem...

Robert Hichens.

## OGRÓD ALLAHA.

13

Przekład z angielskiego.

Zawahała się, lecz znów zdobyła postanowienie.

— Nie mam dziś czasu.

Wróżbiarz rzucił na nią wzrok szybki, przelotny, potem jeszcze raz zająrzył do worka.

— *Ah, mon Dieu! Ach, mon Dieu!*—powtarzał.—Życie, które będzie—życie madame—widzę, widzę w worku!

Twarz jego przybrała wyraz męczeński. Domini usunęła się śpiesznie. Kiedy odeszła kawałek, obejrzała się. Wróżbiarz stał ciągle na środku ulicy i patrzył w worek. Głos jego dobiegł do niej z głębi ulicy.

— *Ah, mon Dieu! Ah, mon Dieu!* Widzę—widzę—*je vois la vie de madame—Ah, mon Dieu!*

W głosie jego były akcenty strasznego cierpienia. Przejęto to dreszczem Domini.

Weszła w ulicę tancerek. Była tu na rogu wielka Kawiarnia Murzyńska, a w niej, na dywanach, rozłożonych na skraju ulicy, leżeli w wygodnych pozach arabowie, jedni sączący herbatę z filiżanek, drudzy—grający w domino, inni rozmawiający, inni wreszcie patrzący ze spokojem w przestrzeń, jak zwierzęta, wprowadzone w sen letargiczny. Czarny murzynek biegał, obnosząc kutą brązową tacę, na której były małe chińskie filiżanki, napełnione gęstą kawą. Na pół drogi ulicy spoکاł on trzy odsłonięte kobiety, ubrane

w przestronne białe szaty, ze szkarłatnymi, żółtymi i purpurowymi chustkami, zawiązanymi na ich czarnych włosach. Zatrzymał się—i kobiety wzięły filiżanki paluszkami, zabarwionemi henną. Dwaj młodzi arabowie przyłączyli się do nich. Powstał gwar. Białe kawałki cukru przeleciały w powietrzu. Powstała wieża babel głosów, potok krzyków z pełnią ochoty południowej.

Zanim jeszcze głosy te zamarty w jej uszach, stała już przed posągiem kardynała Lavigierie. Unosząc się wysoko na marmurowym piedestale, wojak raczej, niż kapłan, patrzył wzdłuż drogi, która, łącząc się pod koniec z nikłym traktem pustyni, ciągnęła się wdał do Tumbuku. Infuła na jego głowie była nałożona, jak hełm wojenny, pastorał z krzyżem podwójnym ujął swą dłonią, jak miecz. Na niższym krzyżu była rozpięta postać konającego Chrystusa. I kardynał, patrzący wzrokiem orła na bezdrożne obszary piaszczyste, które leżały poza drzewami palmowemi, zdawał się, dzięki swej postawie, wołać na te tysiączne hordy ludzi, aż do najgłębszego wnętrza Sahary, wyhodowanych w ciszy i tajemnicy: „Chodźcie na łono kościoła! Chodźcie tu do mnie!”

Zwoływał ludzi z pustyni. Domini wyobrażała sobie głos jego, echem płynący wzdłuż piasków, aż póki Allaha i jego proroka czcicie-

le nie usłyszeli go, jak trąby dzwicznej, w Tumbuku.

Kiedy przyszła do wielkiego hotelu, słońce właśnie już się skłaniało ku ziemi. Wyjęła kartę hrabiego Anteonięgo z rękawiczki i pociągnęła za dzwonek. Po długiej przerwie wspaniały mężczyzna, z rysami araba, lecz z cerą, prawie czarną, jak cera murzyna, otworzył drzwi.

— Czy mogę wejść na wieżę, by zobaczyć zachód słońca?—spytała, podając mu kartę.

Służący skłonił się nisko, przeprowadził ją przez długą halę, pełną sprzętów w pokrowcach, na schody, wzdłuż korytarza z niezliczonymi pokojami, stąd na wyższe schody i potem na płaski w kształcie tarasu dach, na którym wieża wznosiła się ponad domy i palmy Beni-Mora, ponad krajobraz, roztoczony na pół dnia drogi w pustyni. Wąskie schody śrubowe wewnątrz wieży prowadziły na szczyt.

— Pragnę wejść sama,—rzekła Domini.—Pozostanę tam pewien czas i nie chciałabym zatrzymywać was ze sobą.

Wsunęła nieco drobnych arabowi do ręki. Spojrzył na nią uprzejmie, atoli przez chwilę z wątpieniem. Lecz wraz pozbył się wahania i z uśmiechem przymilenia wyrzekł kilka słów, których nie mogła zrozumieć. Skinęła mu głową, by pozbyć się go coprędzej. Z da-

chu już ujrzała wielką widmową panoramę, jarzącą się barwami, magiczną. Rwała się, by wdrapać się wyżej ku niebu, spojrzeć ztamtąd na świat, jak orłowie to czynią. Zwróciła się niezłomnie w stronę i wstępowała po ciemnych krętych schodach, aż póki nie natrafiła na drzwi. Pchnęła je z pewną trudnością i wyszła na przestwór zawrotnej wyżyny, zamykając z trudem drzwi za sobą ruchem energicznym swych silnych ramion.

Wierzchołek wieży był mały, kwadratowy, otoczony białą poręczą, sięgającą piersi człowieka. Pośrodku jego wznosiły się ściany i sufit na wierzchołku schodów, który zabezpieczał osobę, stojącą na jednej stronie wieży od widoku kogoś, stojącego po stronie przeciwnej. Pomiędzy poręczą i schodami było właśnie miejsce jedynie dla dwu osób do przejścia z trudem i wymijaniem.

Lecz Domini nie zajmowała się teraz temi pospolitemi szczegółami. Tylko co zamknęła małe drzwiczki i znalazła się sama—sama, jak orzeł w niebie. Postąpiła krok naprzód, który ją przywiódł do poręczy, oparła na niej ręce, spojrzała i utonęła w namiętnym zapatrzeniu.

Zrazu nie mogła dostrzedz żadnego z mnóstwa drobiazgów w wielkim widzeniu wieczora w dole i wokół siebie. Miała tylko poczucie głębi, wyżyny, przestrzeni, barwy, tajemnicy, pokoju. Nic nie odmierzała. Nic nie różniczkowała. Stała tu tylko poprostu, wsparta lekko na śnieżnym cementowym pomoście, i doświadczała czegoś, czego nigdy dotychczas nie doświadczała, czego nigdy nie wyobrażała. To było zaledwie żywe; bowiem we wszystkim, co jest żywe, zda się być coś małego, punkt, do którego cuda się ściągają, iskra natężona, ku której wszystkie ognie garną się, jako karm, kropla, która zawiera szemrzące siły niezmiernych strumieni. To było bardziej, niż żywe. To było wiążące ścienne, jak owo tętno życia, które słychać poprzez i ponad walenia się pokoleń i stulecia, zapadające w głąb—w otchłań; to wiecznie trwałe, niezłomne bicie serca, bierne w swej mistycznej tajemniczości, które nie wie i tryumfuje, i nigdy nie urasta głośniejszemu, ani się nie zmniejsza, nieubłagane spokojne, nieubłagane stałe, niezmiennie—więcej jeszcze—całkiem nie dotykane niezmiernymi milionami tragedji i śmierci.

Wiele dźwięków unosiło się tam z dołu pod wieżą, lecz Domini na razie nie słyszała ich wcale. Była tylko świadomą niezmiernono-

ści, ciszy, co żywie, ciszy, opływającej pod nią, nad nią i dookoła, falami niemymi i niewidzialnymi. Kręgi ciszy i pokoju, jasne i świeże, roztaczały się w tej topieli ku niedojrzanym granicom świata pogodzonego, granicom, ginącym w ukrytej krainie poza zmieszaniem czarodziejstwem purpury, gdzie niebo i pustynia spotykały się z sobą.

I uczuła, jak gdyby mózg jej, ciągle pracujący od chwili jej przyjscia na świat, jej serce, bez przerwy kołysane podmuchami pragnień, jej dusza, wieczny ruch trwoźnych i rwących się skrzydeł, zamknęły się naraz spokojnie, jak zamykają się płatki róży, gdy noc letnia napływa na ogród.

Stojąc tak, straciła poczucie tego, że oddycha. Zdało się jej, że pierś jej przestała się wznosić i opadać. Wszystka jej krew zaśniła się w jej żyłach, jak światło wieczoru śni w błękitcie.

Poznała Wielki Moment Wypoczynku, który zdał się dzielić mnogość żywotów ludzkich na dwoje, jak Wielki Wir oddziela tych, co spoczęli na łonie Abrahama, od tych, co tu jeszcze całunem ognia okryci.

## KSIĘGA II.

### Głos modlitwy.

#### VII.

Muzyka rzeczy zdołu wzbierała ku Domini poprzez eteryczne przestrzenie, nie mącąc atoli jej snów. Lecz naraz drgnęła z uczuciem bólu tak ostrem, iż przejął całe jej ciało i pulsom kazał bić w skroniach. Szybko odjęła ręce od poręczy i obejrzała się. Usłyszała jakiś drobny zgrzytliwy szmer, który zdawał się być blizkim, wraz z nią zamkniętym tu na wyżynie, w tej wąskiej przestrzeni wieży. Jakkolwiek mały i krótki—nie słyszała go już więcej—na chwilę wyżoną ją z raju, jak by to byłanioł z mieczem ognistym. Czowała, jako rzecz pewną, że tu na wierzchołku wieży musiał być ktoś żywy wraz z nią, ktoś, co spowodował hałas, który usłyszała. Któż to mógł być? Gdy odwróciła głowę, ujrzała jedynie ścianę zewnętrzną klatki schodowej, część wąskiej białej przestrzeni, która ją okrążała, róg poręczy i błękit powietrza.

I gdy tak stała niepewna, pół obrocona i nasłuchująca, usłyszała znowu ten sam dźwięk i wtedy zrozumiała, z kąd pochodził. To czyjaś stopa zgrzytnęła o asfalt posadzki. Był tedy ktoś tu jeszcze prócz niej, kto patrzył także na pustynię. Naraz przyszła jej myśl do głowy.

Prawdopodobnie był to hrabia Antoni. Wiedział, że miała tu przyjść, i zapragnął widocznie i tu być jej przewodnikiem, Przyszedł przed nią i nie słyszał jej wejścia na schody, udawszy się na dalszą stronę wieży i tam, zapatrzwszy się niechętnie na zachód słońca, utonął w marzeniu, jak ona przed chwilą.

Postanowiła nie przerywać mu, jeżeli to był on.

Patrzała wdół na wioski i mogła wzdzić dokładnie ich rozciągłość, jak były rozłożone w Saharze, w jakim stosunku znajdowały się do łańcuchów górskich, do rzędów palmowych i do suchych, spalonych słońcem traktów,—gdzie środkowało się ich życie, gdzie się kończyło na skrajach podmiejskich, podobnych zgoła do skrajów znoszonego ubrania,—gdzie było to życie gnuśne i lekkomyślne, gdzie znowu czynne i pracowite. Po raz pierwszy uprzytomniła sobie, iż były tu w Beni-Mora dwa różne pokłady życia: życie uliczne, podwórzowe, ogrodów i placów—i po nad niem—życie dachów. Obadwa były obecne rozłożone przed jej oczyma, i to ostatnie, w domowej swej pouiności, zaciekało ją i urokiem poilo. Ujrzała na dachach dzieci, bawiące się z piaskami, kozami, drobiem, matki w gałganach jaskrawego koloru, tłukące pszenicę na ku-ku, obierające jarzyny, prażące strawę, oskubujące kurczęta, pochylające się nad miskami, z których unosiła się para od zupy; dziewczątka, siedzące w zakurzonych kątach, uroczyście zwijające wełnę na motki i przerywające sobie od czasu do czasu, by zagadać do oddalonego od nich roduźnistwa lub powąchać kwiaty, leżące obok, jako nagroda ich pilności. Stara babuła kołysała i całowała nagiego bębna z dużym brzuchem. Wielki szary szczur wybiegł z pod kupy śmieci tuż obok niej, przemknął skroś przestrzeni słoneczną i zniknął w szczelinie. Gołębie krążyły ponad tym ruchem domowym: wytworni miłośnicy powietrza, zataczały koła wśród wierzchołków palm, powracały i sfruwały bez strachu na bronzowe przylepy ziemne, by dumnie przechadzać się, czyniąc charakterystyczny ruch głowy, w połowie skłaniając się, w połowie dygając. Zawualowane dziewczęta używały przechadzki, czerpiąc świeżość wieczoru, składając ramiona ponad rozwiewającymi się szatami i zamieniając szczebioty, których Domini nie mogła słyszeć. Na bliższym planie niektóre dachy na ulicy tancerek odślaniały bogate kanapy, na których wymalowane hurysy leżały w pozach leniwych, lub trwały ze sztywnością bożków



drewnianych,—małe stoliki z zastawionymi filiżankami z kawą, inne, dookoła których zebrani żuawi zabawiali się grą w karty, lecz każdej chwili gotowi przerwać dla karesów lub płochego żartu z kobietami, które obok nich zasiadały. Kilku mężczyzn, ubranych, jak dziewczęta, uwijało się, obnosząc wśród tancerek słodycze i cygarety. Brody ich pociesznie sphywały po zwojach brzozonego musliu, nagie ich ramiona wynurzały się z powłóczyстых jedwabnych rękawów. Chłopię murzyńskie siedziało, trzymając tam-tam pomiędzy nagimi kolanami i uderzało w niego sprawnymi rękoma, podczas gdy żydowska pan-na wykonywała taniec brzucha, powiewając dwiema chustami, czerwoną i purpurową, i śpiewając niskim i dzikim głosem kontraltowym, co Domini mogła była słyszeć, lecz niewyraźnie. Grający w karty przerwali grę i obserwowali ją—i Domini również. Po raz pierwszy, z tej zawrotnej wysokości, ujrzała ten taniec powszechny wschodu; postać, jak małej kukielki, fantastycznie zdrobniała, poruszająca drobne ręce, obracająca swe drobne ciało, kręcąca się, jak mały bąk, dumnie krocząca, to znów przeginająca się, podczas gdy żołnierze—równie ztąd mali, jak zabawki ołowiane, wyjęte z pudełka—poprzybierali postawy głębokiej uwagi, wsparci na stolikach od gry, wyciągnawszy nogi, przybrane w spodnie, podobne do balonów.

Kolory wszędy się pogłębiały wraz z dniem zapadającym. Duchy pustyni stanęły przy robocie. Pomyślała znów o hrabim Anteonim i postanowiła pójść dookoła na drugą stronę wieży. Kiedy ruszyła się, żeby to uczynić, usłyszała raz jeszcze zgrzytnięcie nogi o posadzkę cementową, a potem kroki. Widocznie obudziła w nim uwagę, podobnie—jak on w niej. Szła tedy, wciąż słysząc kroki, okrążyła róg i stanęła twarzą w twarz w dziwnym świetle wieczoru z wędrowcem, swym towarzyszem podróży. Ciała ich prawie się zetknęły w wązkiem przejściu, zanim oboje się zatrzymali, jak prądem rażeni. Przez chwilę stali bez słowa, patrząc na siebie, jak patrzą ci, co rozmawiali ze sobą, którzy wiedzą coś jedno o drugim, którzy mogą się lubić lub nie lubić, mogą zbliżyć się do siebie lub stronić od siebie, lecz którzy nie mogą udać, iż są całkiem sobie obcy, całkiem obojętni dla siebie. Spotykają się tu, w niebie, jak spotykają się ptacy skrzydlaci. I Domini—bądź jak bądź—zdało się, jak gdyby głębia, wysokość, przestwór, barwa, tajemnica

i pokój—tak jest, nawet i pokój—które były nad nią, pod nią i dookoła niej, były tu umieszczone rękoma ukrytymi, jako podłoże dla ich spotkania, nawet—jakgdyby widzenie przelotne z dnia poprzedniego, w które pociąg wychynął z czarności tunelu, stworzonym było niezawodnie, jako rama dla lica, które na nią patrzyło, jakgdyby z serca słońca.

Chwila wydała się długą, gdy tak stali bez ruchu. Mężczyzna zdjął kapelusz z głowy, niezręcznie, jakkolwiek z rzetelnym szacunkiem, i stanął szybko przy ścianie naprzeciw poręczy, żeby ją przepuścić. Mogła była przejść, otarłszy się nieco o niego—i w tym celu uczyniła ruch naprzód. Lecz naraz zatrzymała się i znów spojrzała na niego, jak gdyby oczekując, że zacznie mówić do niej. On trzymał wciąż kapelusz w ręku, i lekki wietrzyk pustyni poruszał jego krótkie kasztanowate włosy. Nie rzekł słowa, lecz stał, wciskając się do muru z rodzajem dzikiego przestרחu, jakgdyby obawiał się, by jej spódnica nie musnęła go, i jakgdyby pragnął zmaleć i skurczyć się, by dać jej wolne przejście.

— Dziękuję panu,—rzekła po francusku.

Przesła koło niego, lecz nie mogła była tego zrobić, nie dotknąwszy go. Lewe jej ramię zwiisało, i goła jej ręka dotknęła wierzchu jego ręki, w którym on trzymał kapelusz. Uczuła, jak gdyby w tej chwili dotknęła palącego się pieca, i spostrzegła, iż on drgnął zlekka dreszczem, jakim nadmiernie znużeni ludzie wstrząsają się nieraz w świetle dnia. Niezmierne, prawie macierzyńskie uczucie litości dla niego przejęło ją do głębi. Nie wiedziała sama, dlaczego. Gorąco natężone jego ręki, dreszcz, który go przeszedł, postawa jego, gdy kurczył się z rodzajem trwożnej i razem dzikiej grzeczności ku białemu murowi, wyraz jego oczu, gdy ręce ich się zetknęły, wejrzenie, którego nie mogła zanalizować, lecz które zdawało się zawierać głębie tęsknoty, zmieszane z odpychaniem, jakgdyby kogoś, wyciągającego ramiona po pomoc i jednocześnie wołającego: „Nie zbliżaj się do mnie! Pozostaw mnie sobie samemu!”—wszystko to w nim wzruszyło ją. Uczuła, iż była lico w lico z osamotnieniem duszy, jakiego jeszcze nigdy dotychczas nie spotykała, z osamotnieniem, które było okrutnem, które zwiisało w męce konania. Gdy tak przeszła obok niego i podziękowała mu grzecznie, zatrzymała się już ze zwykłą stanowczością swych ruchów. Powzię-

ła naraz zamiar, żeby przemówić do niego. On już był się zwrócił, żeby odejść, gdy zagadała do niego szybko—po francusku.

— Nie prawda-ż, że tu prześlicznie?—rzekła, a głos jej brzmiał raczej głośno i prawie ostro, by zwrócić jego uwagę.

Wędrowiec obrócił się szybko, jakkolwiek jakby trochę z odrazą, spojrzął na nią bojaźliwie i zdał się być pełen wahania, czyli ma odpowiedzieć.

Po krótkiej chwili milczenia, która atoli w tego rodzaju warunkach wydała się i była istotnie długą, ozwał się po francusku.

— Prześlicznie, pani.

Dźwięk jego własnego głosu zdawał się nim wstrząsać. Stał, jak gdyby usłyszał niezwykły szum, który go spłoszył, i patrzył na Domini, jak gdyby czekał, iż ona podzieli jego wrażenie. Bardzo szybko i ze stanowczością oparła znowu ręce na poręczy i przemówiła raz jeszcze do niego.

— Zda się, że jesteśmy tu jedyni przyjezdni.

Postawa mężczyzny stała się nieco spokojniejszą. Spojrzął mniej przelotnie, mniej—jakoby w pośpiechu odejścia, lecz ciągle jeszcze trwożnie, dziko i niezwykle nieukładnie.

— Tak jest, pani; nie wielu tu teraz.

Po chwili i z akcentem niepewnym dodał:

— Przepraszam panią — za wczoraj.

DCN.



#### TREŚĆ NUMERU 13-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*  
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*  
Folie de la vitesse. *Włodz. Perzyński.*  
Kwiat Mimozy. *Jan Stanisław Mar.*  
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:  
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:

Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chotoniowski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.